

665 **życie teatrem**

**T**WÓRCZOŚĆ Witkacego wciąż jest nas w stanie zaskakiwać. Właściwie to dzięki kilku takim głowom (w tym jednej wrocławskiej, należącej do Janusza Deglera) dramaty autora „Szewców” przestały być takie tajemnicze, szalone i absurdalne, jak to się wydawało w czasach ich narodzin. Rozgrzyziono estetykę i filozofię twórcy Witkacego, z teoria czystej formy bywają za pan brat nawet co światlejsi licealiści.

Wiadomo, że rzeczywistość większości spośród tych dramatów jest autonomiczna, rządząca się własną, niezależną „logiką”, że czy chodzi o reguły psychologiczne, czy o bieg czasu, czy o zasady przyczynowości rzeczywistość ta niewiele ma wspólną

jest nam nieczęsta okazja obcowania z żywą sztuką.

„Janulka”, dramat napisany w 1923 roku, ale do lat sześćdziesiątych praktycznie nie znany, wystawiony po raz pierwszy w 1974 roku, prawie nie grany i niezbyt chyba ceniony, w rękach Bunscha przeobraża się w... „Wesele” naszych czasów. Tylko tym razem nie jest to polskie studium niemocy, lecz bardziej uniwersalne studium daremności.

Oglądamy baśń lub przypowieść o ludzkości (słowo „ludzkość” i pochodne budzą obrzydzenie bohaterów) w stadium postępującego i rozszerzającego się „zbydłecenia”. Jest to ludzkość wykorzeniona z kultury i historii, o zanikającym poczuciu tożsamości, czyniąca wysiłki, by wymigrować od siebie samej w nedorzeczną „piątą rzeczywistość”, tracąca poczucie czasu i rzeczywistości, niezmordowana choć niezbyt efektywna w konstruowaniu nowych bytów oraz idei, a nade wszystko chyba bezgranicznie znudzona sama sobą.

Czysta paranoja? No tak, no tak — ta-

Wojciech Jankowiak i Michał Jędrzejewski, autorzy doprawdy zadziwiającej scenografii, która jest ważnym, przemawiającym elementem przedstawienia, ale przecież nie zastępującym aktora ani go nie rugującym na dalszy plan. Wśród tych ostatnich znakomitą klasę prezentuje Igor Przegrodzki, wspaniale oddający złożoność postaci Fizdejki, który przechodzi w sztuce transformacje, który i jest sobą, i gra siebie, i kreuje swoje wyobrażenie. Mimo woli, boć przecież nie na zasadzie jakichś podobieństw czy wtórności, gdy oglądam w tym przedstawieniu Przegrodzkiego, nasuwa mi się wspomnienie innej jego wielkiej roli w „Ślubie” sprzed lat.

Bardzo podobał mi się również Bogusław Danielewski w roli Barona Plasevitz, z lekka zidiociałego starca, odzywającego się przecież zaskakująco przytomnie. Bardzo wyszukany, a precyzyjnymi środkami — owoc pracy i wyobraźni — zbudował postać Księcia Trefouilla Zdzi-



Igor Przegrodzki i Zbigniew Lesień w przedstawieniu „Janulki”.

Fot. Adam Hawałej

# KONIEC ŚWIATA

Tadeusz Buski

nego z doświadczeniem potocznym, często stoi w opozycji do niego. Ale tym bardziej bywamy w obcowaniu z Witkacym szokowani, gdy wbrew oczekiwaniom, nawet wbrew intencjom i deklaracjom autora, odkrywamy, że w tej zwiariowanej, absurdalnej, surrealistycznej dramaturgii odbija się najsłabsza realność naszego świata, a przynajmniej jego „obraz duchowy”.

Mógł tego w pełni nie rozumieć sam Witkacy, mieli prawo tego nie dostrzec jemu współcześni, wydaje się dziś wszakże, że Witkacy był nadzwyczaj u-wrażliwionym medium, obdarzonym tajemniczym instynktem, wychwytyjąc najsłabsze impulsy niepokojów świata zdającego się swemu przesileniu. Jak niektóre zwierzęta potrafią „przeczuć” trzęsienia ziemi, a szczury katastrofę okrętu, tak Witkacy czuł nadchodzenie totalnego cywilizacyjnego kryzysu. Jego dramaty są rozedrgane takimi przecuciami. Coś, co stało się wyraziste u Becketta czy Gombrowicza, jest również obecne w twórczości autora „Onych”. Jest obecne tak dalece, że można dziś ahistorycznie, idąc pod prąd czasu czytać i interpretować Witkacego przez pryzmat twórczości tych właśnie autorów.

Tak zda się — przynajmniej do pewnego stopnia — postępować Jacek Bunsch jako realizator „Janulki, córki Fizdejki” na scenie Teatru Polskiego we Wrocławiu. Młody reżyser, żyjący wszak tu i teraz, pracujący nad przedstawieniem współczesnym, uformowany przez rzeczywistość świata dzisiejszego, zignorował wiele ze szczegółów w didaskaliach dramatu. Wkomponował Witkacowski obraz w krajobraz beckettowsko-gombrowiczowsko-różewiczowski, symboliczny „krajobraz po bitwie”, odpowiadający dzisiejszej wrażliwości i korespondujący z naszą wyobraźnią. Jest to naprawdę odkrywcze. A już na pewno Bunsch nie uchylił się od odpowiedzi na pytanie: jak należy dzisiaj grać Witkacego?

Jak każda odważna odpowiedź tak i odpowiedź Bunscha może stać się przedmiotem dyskusji, nawet poważniejszych kontrowersji. Nie można jej jednak odmówić sugestywnej siły. Jeśli zaś w teatrze człowiek spotyka się z taką wartością to niech diabeł weźma jakiegokolwiek dyskusje natury np. filologicznej, skoro

kie zjawiska jak alienacja, jak utrata tożsamości, jak emigracja z własnego czasu, własnej historii, a nawet własnej osobowości to z pewnością znak paranoi. Ten świat z horyzontem elektronicznych gwiazdozbiorów, z zegarem wskazującym dowolny czas, z typami i rekwizytami pochodzącymi z różnych epok i mitów, świat będący w sumie nie dającym się nijak uporządkować śmietnikiem — to rzeczywistość, która może być jedynie wytworem chorobliwej wyobraźni. Taki świat odpowiednio pomniejszony, sprowadzony do wymiaru sceny jawi się zdrowemu umysłowi jako surrealistyczna groteska, paradoksalny anachronizm, doprowadzona do absurdu deformacja rzeczywistości. Jeśli jednak wyteżyć umysł i wyobraźnię i „rozdmuchać” tę witkacowską „czystą formę” rozdmuchać tak, by naśladować się jak gigantyczny balon do wielkości globu, uległa stosownemu rozciągnięciu możemy doznać najprawdziwszego szoku rozpoznając w niej zaskakująco wierne odwzorowanie świata rzeczywistego, w którym trzeźwo bytując wcale na co dzień nie doświadczamy poczucia paranoi.

I na tym dzisiaj polega „witkacowski szok”.

Bunsch potraktował „Janulkę” ze śmiertelną powagą. Potraktował ją nie jak groteskowa komedia, nie skupił się na zawartych w utworach doraźnych polemicznych czy aluzyjnych akcentach, odczytał „Janulkę” jako egzystencjalno-filozoficzny dramat, bardzo poważny, choć równie „wesoły”, jak „komedia” Becketta czy Gombrowicza. Nigdy nie ukrywałem, że takie odczytywanie Witkacego wydaje mi się dziś wyjątkowo płodne, może jedynie sensowne. Bo po upływie lat to, co najbardziej niepokoi i fascynuje w jego twórczości to szczególnego rodzaju profetyzm. „Wymyślona” rzeczywistość sztuk Witkacego ulega stopniowej materializacji.

Tak potraktowana „Janulka” staje się „komedią” drapieżną i raczej ponurą. Jest komedia fin-de-siècle'owa, ale nie z czasów dekadencji sprzed stulecia, jeno całkiem dzisiejszej, narastającej w obliczu kryzysów współczesnych. I jak sądzę, dlatego dorusza.

W stworzeniu sugestywnej scenicznej metafory bardzo wspomogli reżysera

sław Sośnierz. Z pań najbardziej do mnie przemówiła Danuta Balicka, a nawet nie przemówiła, bo niewiele ona mówi w roli Fizdejkowej, ale wyraziście istnieje w przedstawieniu. W przypadku Haliny Skoczyńskiej grającej tytułową postać Janulki żywie niejąka obawę, czy nie potraktowała jej nieco jednowymiarowo; choć jako żywo kto wie, jak należy zagrać półdziewiczą namiętą ale i inteligentną bydladynkę?

Występują jeszcze: Ewa Kamas, Zbigniew Waleryś, Zbigniew Lesień, Krzysztof Dracz, Tadeusz Szymków, Henryk Niebudek, Andrzej Szopa, Waldemar Głuchowski, student PWST Roman Szafranski, o których mogę powiedzieć, że zostali obsadzeni zgodnie z dyspozycjami, są dobrze wpasowani w przedstawienie, choć dla widza z nimi obeznanego, mogłaby być interesująca odpowiedź na pytanie, czy pewne indywidualne środki ekspresji stosowane, a czasem nadużywane przez niektórych w innych przedstawieniach, są tu powtarzane świadomie (zresztą na miejscu), czy też dlatego, że mają trudności lub nie dość okazji do wzbogacenia swego warsztatu?

Nie wiem, jak ostatecznie na premierę w Teatrze Polskim zareagują poważni witkacologowie. Ale nawet gdyby wzbudziło ono spory, będa to spory o istotne racje. „Janulka” jest niewątpliwym wydarzeniem we wrocławskim życiu teatralnym, mającym prawo wywołać różne reakcje prócz obojętności. O co w teatrze chodzi chyba najbardziej.

Nowy dyrektor Teatru Polskiego może odnotować pierwszy poważny sukces. Stary dyrektor może się poszczycić wybitną kreacją w przedstawieniu swego następcy. Obaj w przyjaźni. Świat się chyba naprawdę kończy, choć ten akurat symptom końca świata należy do sympatycznych.

Teatr Polski we Wrocławiu: „Janulka, córka Fizdejki” Stanisława Ignacego Witkiewicza. Opracowanie tekstu i reżyseria: Jacek Bunsch. Scenografia: Wojciech Jankowiak i Michał Jędrzejewski. Muzyka: Zbigniew Karnecki. Ruch sceniczny: Jerzy Stępniak. Premiera 31 stycznia 1986 r.